ŚWIAT dzieci
DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

Z. KWIECIŃSKA

PODAREK WŁODKA

Tego roku Włodek czekał na Święto Matki z pewnym niepokojem i strachem. Przygotował wprawdzie podarek piękniejszy niż kiedykolwiek i na pewno nikt w klasie takiego nie miał — wyciął śliczną ramkę z dykty, wymalował na niej kwiaty i polakierował. Nawet pan w klasie pochwalił i powiedział, że Włodek jest zdolny. A mimo wszystko Włodek chodził smutny i rozdrażniony. Kto wie jak mama przyjmie ten prezent? A może powie tylko: „Dziękuję, postaw na komodzie" i na tym się skończy? Albo może, co gorsze, wcale nie zechce patrzeć. Bo mama od dłuższego czasu gniewała się na Włodka. I to gniewała się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. A zaczęło się od głupstwa. Pewnego ranka Włodek wyszedł jak zwykle do szkoły (mamy już nie było, bo wcześniej szła do roboty). Szedł sobie powoli — słońce świeciło ładnie a czasu jeszcze było dość. Nagle przed samą szkołą przypomniał sobie, że zostawił na stole zeszyt z wypracowaniem piśmiennym. Cóż tu robić? Pan zapowiedział, że kto nie przyniesie zadania, ten dostanie murowaną dwóję. Trzeba było wracać. Pędzi więc tak, aż ludzi potrąca i nagle na samym rogu wpadł na Wicka Kowalskiego.

— Gdzie się tak spieszysz?

— Jak to gdzie? Do szkoły.

Wicek gwizdnął.

— I tak się spóźnisz. Odpocznij sobie.

— A ty czemu nie idziesz?

— Bo ja dzisiaj jestem „ciężko chory". I śmiejąc się dodał:

— Żebyś ty wiedział, ile ja wczoraj ryb nałowiłem...

— Gdzie? — zapytał Włodek zapominając o świecie.

— A gdzieżby? Przecież że w rzece a nie na ulicy. Chodź pokażę ci świetne miejsce. Nie masz co do szkoły iść. I tak przyjdziesz w połowie lekcji, a wiesz jak „Pingwin" krzyczy.

Pingwinem nazywali nauczyciela. Kto go tak nazwał pierwszy i dlaczego nikt już nie wiedział. Ale starsi, którzy jeszcze przed wojną chodzili do szkoły, też pamiętali to przezwisko.

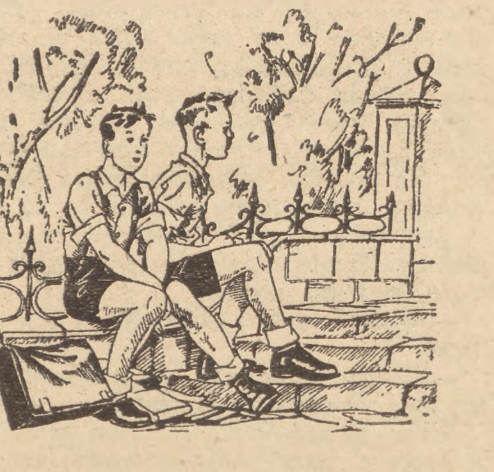
Włodek zastanowił się. Rzeczywiście spóźnienie się na lekcję „Pingwina" nie należało do przyjemności.

— A jak ja się usprawiedliwię? — zawahał się.

— A jak ja się usprawiedliwiam? Widzisz przecie ile opuszczam. Inni tak samo robią. Nie bądź głupi...

Ryb w rzece nie nałowili, ale za to cały dzień przeleżeli na słońcu, byli w polu i w lesie. Na drugi dzień Wicek wykaligrafował dwa zaświadczenia i jakoś nikt na nich w szkole nie poznał się.

Od tego się zaczęło. A potem już było zbyt wiele pokus, żeby nie spróbować jeszcze raz i jeszcze raz. Chodzili teraz z Wickiem razem nad rzekę, to znów siedzieli w domu i grali w warcaby i wszystko byłoby pięknie, gdyby pewnego razu, gdy właśnie na podwórku narazdzali się, jak spędzić dzień, nie przyszła nagle mama. Nigdy o tej porze nie wracała do domu. I gdyby chociaż nakrzyczała, gdyby zbiła, byłoby znacznie lżej. Ale mama nic, ani słowa nie powiedziała. Popatrzyła tylko i weszła do mieszkania. Chłopcy zdrętwieli.



— Tośmy wpadli — szepnął po chwili Wicek. — No, bywaj zdrów, idę wobec tego sam.

Włodek został na podwórzu, długo bojąc się wracać do mieszkania. A gdy wreszcie, chyłkiem uchylając drzwi wszedł do izby zobaczył, że mama siedzi przy stole koło okna i nic nie robi, tylko patrzy przed siebie. Nie odwróciła się nawet gdy Włodek niechcący potrącił krzesło.

— Czy mama chora? — zapytał nieśmiało Włodek.

— A ciebie cóż to może obchodzić? — i nie odwracając głowy mówiła dalej. — Jeden mi pozostałeś na świecie. Myślałam zawsze — męczę się, bieduję, ale przynajmniej syna wychowam, będę z niego kiedyś dumna. A ty... ech, mało tego że swoich obowiązków, a przecież ich nie masz tak dużo, nie wypełniasz, ale jeszcze do tego oszukujesz mnie i innych, podpis mój fałszujesz i narażasz mnie na wstyd przed ludźmi.

— To nie ja — próbował się bronić Włodek. — To Wicek.

— Ale tyś korzystał z tego, to jeszcze gorzej...

Wstała i Włodek zauważył, że ma oczy zapuchnięte od płaczu. I od tego czasu zrobiło się w domu po prostu strasznie. Mama o Włodka dbała po dawnemu, gotowała jeść i naprawiała podarte ubrania, ale nigdy go nie popieściła, jak dawniej, nigdy się nie uśmiechnęła. I im później tym trudniej było jakoś wytłumaczyć, wyjaśnić. Zresztą jak wyjaśniać, kiedy Włodek czuł, że zawinił. Próbował rozmawiać, próbował zagadywać o tym i o owym. Mama słuchała, kiwała głową, mówiła „tak" lub „dobrze" i wracała do swoich zajęć. Wreszcie zaciął się. Jak nie to nie. Ale smutno było teraz i wychodzić do szkoły bez maminego uśmiechu i wracać do domu.

Zbliżał się Dzień Matki i Włodek coraz częściej rozwijał z cienkiej bibułki swój skarb, swoją wyciętą z dykty ramkę, oglądał ją na wszystkie strony, sprawdzał, czy lakier nie odpryskuje i denerwował się. Ostatniej nocy prawie oka nie zmrużył. Bał się, że zaśpi i mama wyjdzie wcześniej do roboty. Nadszedł wreszcie wczesny letni świt, ptaki na pobliskiej akacji podniosły gwar, z głośnym turkotem przejechała jakaś fura. Włodek ubrał się cichutko, ostrożnie otworzył drzwi i pobiegł do znajomego ogrodnika. Za oszczędzone pieniądze kupił duży pęk blado - liliowego, jeszcze pokrytego rosą bzu. Gdy wrócił, mama już przygotowywała śniadanie. Podszedł do niej nieśmiało i na taborecie koło kuchni złożył swoje dary i czekał, co mama powie. A mama spojrzała na niego i w oczach jej wyczytał oczekiwanie. Mama chciała czegoś od niego, tylko nie mówiła i on sam musiał się domyślić, sam musiał odgadnąć. Wreszcie zarzucając jej ręce na szyję, powiedział:

— Mamo, ja przecież już tego nie robię. No nie gniewaj się. Człowiek jest człowiekiem — nie wiadomo dla czego powtórzył powiedzenie, którego stale używał stary szewc, ich sąsiad.

I wtedy mama pierwszy raz od wielu, wielu dni uśmiechnęła się.

— Człowiek jest człowiekiem i nigdy o tym nie powinien zapominać. Jeżeli popełni błąd musi go naprawić.

Potem uściskała syna jak „za dawnych dobrych czasów". Zjedli razem śniadanie i ponieważ dzień był świąteczny poszli razem na Bielany do ciotki. I mama cały dzień była taka wesoła, taka roześmiana, jakiej Włodek nigdy nie pamiętał. I zrozumiał, że nie z ramki, ani z bukietu kwiatów tak się cieszyła, lecz z tego, że jej syn chce być uczciwym człowiekiem.

ANNA ORŁOWSKA

ŚWIĘTO LUDOWE

Stefan wybrał się na święta do wujka na wieś. Pojechał, żeby wujostwo odwiedzić a jeszcze bardziej, żeby to święto zobaczyć i potem napisać o nim do gazetki szkolnej. Bo Stefek był redaktorem szkolnej gazetki i postanowił tym razem wyjechać, jako „korespondent".

Gdy przybył na miejsce, mrok już zapadał. U wujostwa gwarno było i rojno. Naschodziło się pełno sąsiadów i młodzieży. Wuj miał dwóch synów w wieku Stefka i lubił z młodymi pogawędzić. Wujenka przygotowywała kolację i taka była zajęta, że nawet nie zauważyła przybycia siostrzeńca. Dziewczęta w sąsiedniej izbie przymierzały stroje na jutrzejszą uroczystość. Wszyscy powitali Stefka bardzo serdecznie.

— O, przyszedłeś! Z nami będziesz świętować, tak?

Stefek chciał powiedzieć, że o tym wszystkim ma napisać, ale w ostatniej chwili zawstydził się, więc tylko mruknął:

— Tak.

— A mnie się to podoba, że teraz ludzie „miastowi" nie zadzierają nosa do góry — odezwała się wujenka.

— A co by mieli zadzierać nosa? — przerwał wuj. - Jego matka na przykład jest moją siostrą. To co? Przed bratem będzie się pyszniła?

— A jednak bywa tak czasami — upierała się wujenka.

— Pewno, że bywa. Ale to jest źle. Z pracy żyją tak jak i my, tośmy sobie jednakowi. Ludzie z miasta i ludzie ze wsi to jeden naród. Może tam i ktoś myśli inaczej, ale ja uważam, że przede wszystkim zgoda powinna być między nami. Razem cierpieliśmy pod Niemcem, razem biliśmy się o wolność to i teraz razem musimy iść. No nie? Źle mówię? — zapytał, choć nikt nie zaprzeczał.

Stefek miał ochotę wszystko sobie zapisać, tak ładnie wuj to powiedział, ale znowu się zawstydził. Jakże tak? Będzie nagle wyjmował zeszyt i pisał przy wszystkich? Ale trzeba było coś zrobić, bo potem zapomni się, a artykuł do gazetki musi być napisany. Szepnął więc do wuja:

— Wujku, wujek mi to potem powtórzy?

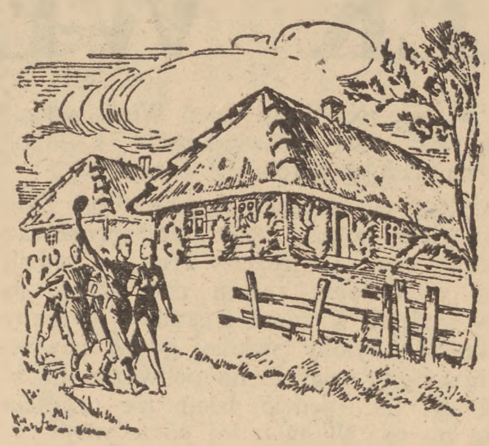
— Powtórzę, ale po co ci to?

Trzeba więc było powiedzieć wszystko z wielkim strachem, że może wyśmieją. Ale nikt się nie śmiał. Wuj nawet popatrzył na siostrzeńca z dumą.

— Patrzcie no go. Do gazetki będzie pisał. A może, jak z ciebie taki pisarz, to i do naszej wsiowej gazetki o tym święcie napiszesz? Co? My tu też mamy gazetkę...

* * *

Nazajutrz wczesnym rankiem wszyscy byli już na nogach. Dziewczęta ubrane



w barwne ludowe stroje wyglądały tak ślicznie jak na obrazku. Wujek ogolił się starannie i nałożył odświętne ubranie. Gdy wyszli z domu cała wieś już wyległa na szosę. Mieli jechać do Staszkówki, gdzie odbywały się uroczystości. Zielenią umajone wozy czekały już na pasażerów. W ostatniej chwili przyjechały dwa wielkie ciężarowe auta. Zaczęli się wszyscy wśród śmiechów i pisków gramolić na te auta. Chłopcy rozwinęli sztandar. Na przedzie jechała orkiestra. Nawet wujenka, która ciągle mówiła, że za stara jest, żeby na pochody jeździć, w ostatniej chwili zdecydowała się i biegała od wozu do wozu, prosząc:

— Weźcie mnie z sobą. Niech i ja zobaczę.

— Chodź tu do nas, — krzyknął wujek — i wciągnął ją do auta.

Jechali słonecznym gościńcem przez pola i przez mały lasek brzozowy, co był po drodze, a pieśni, które śpiewali, niosły się daleko w czystym pogodnym powietrzu.

Gdy przybyli na miejsce, rynek w Staszkówce zapchany już był ludźmi. Aż kolorowo było, aż oczy bolały patrzeć, na te pasiaki, na te lśniące gorsety.

Ci z Karolówki przyjechali z wielkim wiatrakiem na wozie. Naturalnie nie był to prawdziwy wiatrak, tylko taki zrobiony, ale wyglądał wspaniale. Tylko było z nim dużo śmiechu i kłopotu, bo ciągle skrzydłami zawadzał o przewody elektryczne, tak że musieli objeżdżać naokoło. Ale wszystkim się bardzo podobało.

Na rynku wysłuchali przemówień. I Stefek zwrócił uwagę, że wszyscy mówcy mówili prawie to samo, co wujek. O tym, że to jest wielkie Święto Ludowe. Że tak, jak człowiek w mieście buduje swoje domy i swoje miasto, tak człowiek na wsi odbudowuje gospodarstwo wiejskie i że tylko w zgodzie i jedności doprowadzą kraj do dobrobytu.

Potem odbyła się defilada. Szło wojsko (Stefek mimo woli obliczył, za ile to lat on będzie tak maszerował w mundurze), szły delegacje z rozmaitych wsi, ze sztandarami, z transparentami, a obok zielonych sztandarów pełno było czerwonych, tak jak na 1 Maja u nich w mieście. Dziewczęta ze szkoły rolniczej niosły wieńce z kłosów. Stefek odczytywał napisy na sztandarach: Stronnictwo Ludowe, Samopomoc Chłopska, Wici. Niektórych nie mógł odczytać. Chciał zapytać wujka, ale wujek szedł w pochodzie, koledzy również gdzieś znikli. Ludzie naokoło krzyczeli „Niech żyje" i klaskali w ręce.

Na końcu jechały maszyny rolnicze. I wreszcie z szumem i tętentem przejechała banderia chłopska w barwnych krakowskich strojach, aż pawie pióra zamigotały, aż się w oczach wszystko zakręciło. Wśród tych Krakusów galopujących na przystrojonych wstążeczkami koniach, Stefek zauważył dwóch swoich ciotecznych braci. Nic mu wczoraj nie powiedzieli, nie pochwalili się. Powiedzieli tylko:

— Będziesz jutro, to sam wszystko zobaczysz...

Potem wujek odnalazł Stefka.

— No, jak ci się podobało? A teraz chodź do szkoły, zjesz coś i popatrzysz na nasze przedstawienie. Już tam coś na pewno przygotowali.

Do późnego wieczora ze szkoły rozlegały się śpiewy i muzyka.

Na drugi dzień Stefek odjechał do domu, oszołomiony i szczęśliwy układając sobie po drodze, jak to on to wszystko kolegom opisze.

(Naszych czytelników ze wsi, prosimy, by opisali nam jak obchodzili Święto Ludowe).



B. H.

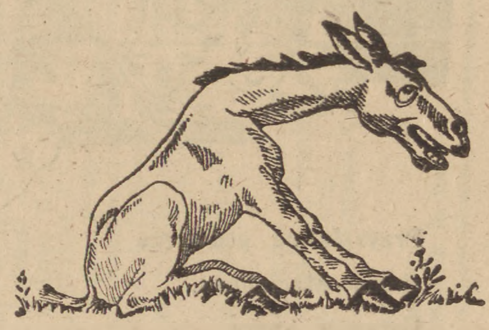
Wesoły alfabet zoologiczny



Wielbłąd płacze, że garbaty.
Wiewiórka ma strój bogaty.



Zając maluje obrazki.
Zebra ma garnitur w paski.



Żółw gra w bilard z młodą żabą.
Źrebak śpiewa, ale słabo.

BENEDYKT HERTZ

KRZYSIA I JANEK na wakacjach

I.

Było to... Et, wszystko jedno, kiedy było. Dzieci są zawsze takie same. Dziś mój ośmioletni przyjaciel, Bogdan, bywa jednego dnia adiutantem brata swego Janusza, drugiego dnia koniem, trzeciego Indianinem ze szczepu Orli Pazur... Sześćdziesiąt lat temu i ja potrafiłem tak się zmieniać — i nie potrzeba mi było na to żadnych wróżek z magicznymi laskami. Samo się robiło.

Otóż w tych to niepowrotnych czasach rzekła do mnie wujenka, u której na wsi spędzałem wakacje:

— Czeka cię przyjemna nowina. Ciesz się.

— Co, może zupa nie będzie na obiad?... A może tatuś przysłał mi krokodyla?...

Gumowy krokodyl był moim marzeniem, bo zamierzałem przerobić ściek przy studni na rzekę Nil i zostać faraonem egipskim.

— Nie — odpowiedziała wujenka — zupa będzie jagodowa, a krokodyl nie przybył. Mają przyjechać Krzysia i Janek. Będziesz miał towarzystwo do zabawy. — No co, cieszysz się?...

— Aha... — potwierdziłem. Jednakże Krzysia i Janek wcale mi nie byli potrzebni: i bez nich miałem się z kim bawić. Przede wszystkim był Józiek, syn kowala. Miał zawsze pełne kieszenie skarbów — muterek, śrubek, skobli... Raz przyniósł nawet całą podkowę, za którą dałem mu dwa arkusiki błyszczącej cynfolii po herbacie. On chciał czego innego: żądał, abym go mianował rotmistrzem ułanów. Odmówiłem. No bo jakże!... Latał boso, bez butów, to do czego przypiąć ostrogi?... A ułan bez ostrogów — też mi ułan! Drugim przyjacielem moim był Romek — chłopiec tak zręczny, że wdrapywał się na najwyższe drzewa, co bardzo niepokoiło ptaki. Zawsze miał głowę przechyloną na lewo, bo lewe ucho było od prawego cięższe. A to dlatego, że raz napadły go wrony, broniące swego gniazda, i odskubały kawałek prawego ucha.

Z Romkiem i Józkiem bawiłem się doskonale; najbardziej jednak lubiłem Wojtka. Grał ślicznie na fujarkach wierzbowych i umiał robić ustami piłowanie drzewa. O tak: psh...psh!... E, ja tak nie potrafię... Trzeba już mieć taki talent w języku. Wojtek był moim najkarniejszym żołnierzem. Bo trzeba wam wiedzieć, że od pierwszego dnia zostałem ich generałem. A jakże, generałem! Bez żadnych entliczków-pentliczków, bez ene-due-rabe. — Samo się zrobiło. No bo tylko ja miałem broń. Tak, broń — i to nie byle jaką. Pistolet, nabijany kapiszonami z czerwonego papieru, oraz pałasz w błyszczącej pochwie. Był na prawdę ostry: można nim było nawet ścinać pokrzywy. A tamci chłopcy mieli co?... Witki. Generał z witką. Także coś...

Nie mniej ważne było to, że umiałem pisać. Nie bardzo, ale zawsze. W każdym razie mogłem wystawiać żołnierzom legitymacje — ołówkiem, literami drukowanymi, lecz bądź co bądź dokumenty, bez których nikt nie miał prawa zjawiać się na Szwedzkiej Górze.

Ta góra tylko się tak nazywała, ale żadnych do niej pretensji król Szwecji nie rościł. — Wieśniacy opowiadali, że to pozostałość okopów z czasu wojen szwedzkich. Ale wój śmiał się i utrzymywał, że nie żadne okopy, tylko stary śmietnik. Zresztą wszystko jedno: co było, to było. Dla nas miała ogromną wartość wojenną; bo trudna do zdobycia, łatwa do obrony, rozbrzmiewała prawie co wieczór wrzawą walk staczanych...

Staczanych! Tak. Dobrze powiedziałem. Staczanych.

Bo rycerze najczęściej staczali się, jak walki, z góry na dół po dość stromym zboczu. Najgorzej, że owo zbocze porastały osty i pokrzywy. Toteż nie jeden wojownik, nim zjechał na dół, stawał się z Europejczyka czerwonoskórym. Potem jeżeli się drapał, to już nie koniecznie na Szwedzką Górę, ale raczej zwyczajnie po twarzy, po rękach, bo strach jak wszędzie swędziło.

I jeszcze jedno było ważne z tą górą. To to, że tylko jedno zbocze — południowe — do nas należało. Północne, porosłe bardzo gęstymi krzakami, było własnością jakichś tajemniczych istot... Podobno nawet Boruty (tego, wiecie, łańcuckiego diabła!) Tam nikt z nas nie śmiał zaglądać, bo chłopcy mówili, że w krzakach straszy.

Mimo to, bawiliśmy się doskonale — doskonale bez Krzysi, bez Janka i bez zaczepiania Boruty.

— Ciociu — pytam — czy Janek jest młodszy ode mnie?

— E nie — odrzekła — on już zdał do prawdziwej szkoły. Dziewięć lat skończył.

— To może nie będzie chciał mnie słuchać?

— Ciebie?... — zdziwiła się wujenka — a dlaczego miałby słuchać?

— No bo ja przecież jestem generałem.



Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Pi, pi, pi! wcale nie wiedziałam, że mam tak znakomitego siostrzeńca.

Coś mi się nie podobało w jej tonie. Podziw dla mojego generalstwa brzmiał fałszywą nutą. Przyjazdu Krzysi i Janka oczekiwałem z pewnym niepokojem.

Wreszcie nadszedł dzień ich przybycia. Wuj posłał konie na stację; ja zaś przypasałem szablę, nabiłem pistolet, a do bluzki przypiąłem sobie złotą gwiazdę (naturalnie z papieru), order lwiej grzywy, ażeby gość od razu wiedział, z kim ma honor mówić.

Andzia pięknie nakryła stół, bo na wsi wszyscy zawsze przyjeżdżają głodni — już taki zwyczaj. Ledwo skończyła, usłyszeliśmy głośne strzelanie z bata i po chwili przed ganek zajechała żółta bryczka, zaprzężona w dwa błyszczące kasztany. Wyskoczył z niej uczeń w granatowej czapce szkolnej, następnie wysiadła dziewczynka. Byli do siebie bardzo podobni i znacznie wyżsi ode mnie.

Ich widok (zwłaszcza chłopca) wzmocnił moje obawy. On na pewno już umie pisać — pomyślałem — i to porządnie, piórem, a nie tak jak ja. — Przywitali się z wujostwem, a następnie wujenka wskazała gościom mnie i mówi: „Zapoznajcie się ze sobą“.

Dalszy ciąg nastąpi

RZODKIEWKI



Przyszła na podwórze
chuda Maciejowa.
Ustawiła kosze,
zachwala swój towar.

— Rzodkieweczki świeże
w ogródku dziś rwane,
w wiosenne, czerwone
pęczki powiązane!

Wygląda okienkiem
Walerka i Ewka:

— Pani Maciejowo,
po ile rzodkiewka?

— Wezmę duży pęczek.
— Ja sześć pęczków kupię,
mam sześcioro dziatwy,
to je dziatwa schrupie.

Pani Maciejowa
uśmiecha się na to.
— Jutro przyjdę znowu
z wiosenną sałatą.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

KĄCIK ROZRYWKOWY

ZAGADKI

1. Mieszka w polu, w sadzie,
na leśnej polanie;
lubi liść sałaty
schrupać na śniadanie.
Wtedy jest wesoły,
wtedy jest szczęśliwy,
gdy naokół siebie
nie widzi myśliwych.

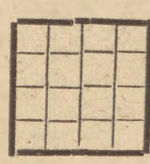
2. Gdy dzień minie,
przy kominie
stań Jagódko;
grę usłyszysz,
co wśród ciszy
brzmi słodziutko.

3. Pluskają się w wodzie
i skaczą po błocie;
ich wrogiem największym
jest miły nasz bociek.

4. Z gąszczu krzewów, drzew,
płynie jego śpiew.
Jest ci na duszy
raźniej i weselej,
kiedy usłyszysz
dźwięczne jego trele.

5. Zdobią na wsi ogrody,
a w mieście chodniki;
kryją je kwiatów białych
przepyszne świeczniki.

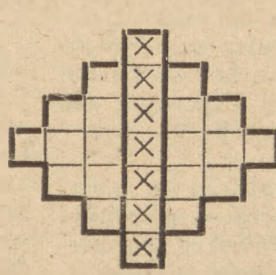
ŁAMIGŁÓWKA



W kratki kwadratu wpiszcie cztery czteroliterowe wyrazy, dające się czytać zarówno poziomo, jak pionowo.

Znaczenie wyrazów: miara, odmierzana nogami; oprawa; znak, wróżba; ostry brzeg stołu.

ŁAMIGŁÓWKA



W kratki figury obok podanej wpiszcie poziomo wyrazy o podanym poniżej znaczeniu. Litery w kolumnie, oznaczonej krzyżykami, odczytane z góry na dół — dadzą rozwiązania.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Owad.
3. Rodzaj gleby.
4. Uprawiony pas ziemi w ogrodzie.
5. Przyrząd, służący do jedzenia.
6. Narząd wzroku.
7. Samogłoska.

DODAWANKI — ODEJMOWANKI

1. Spółgłoska + gatunek papugi = wymiar sprawiedliwości.
2. Lód płynący po wodzie + środek opatrunkowy — minus samogłoska = część męskiego ubrania.
3. Barwa nieba (inaczej błękitna) + spółgłoska = gatunek motyla.
4. Spółgłoska + uszkodzenie ciała — samogłoska = lekarstwo.
5. Spółgłoska + żelazo w stanie pierwotnym — samogłoska = inaczej wysiłek.

ROZWIĄZANIA Nr 17 (77)

ZAGADKI:

1. Litera a
2. Cegły i mur

ZAGADKA — ŻARCIK:

Odsuwamy dwie zapałki, nie zmieniając ich położenia, dokładamy jedną pozostałą i znów mamy ułożony trójkąt równoboczny.